

Staś, Odważny Smakosz

Staś, Odważny Smakosz z Leśnej Wioski. W środku zielonego lasu, między śpiewającymi sosnami i szumiącymi brzoźami, leżała mała wioska. Były tam drewniane domki, ogródki pełne marchewek i malin, a rano po podwórkach chodziły kury, gęsi i trzy bardzo ciekawskie kozy.

W jednym z tych domków mieszkał sześciolatek Staś. Był wysoki jak na swój wiek, chudy jak patyczek, ale bardzo, bardzo żwawy. Miał oczy w kolorze letniego nieba i włosy zawsze trochę potargane od biegania po łąkach i wspinania się na płoty.

Staś lubił wiele rzeczy:

- skakać po kałużach,
- układać z patyków tajne bazy,
- jeść naleśniki z serem,
- i oczywiście... spaghetti z sosem pomidorowym i mięskiem.

Kiedy babcia robiła spaghetti, Staś zawsze krzyczał:

- Ooo, moje ulubione! – i brał dokładkę.

Lubił też pizzę z salami, ser żółty, jogurty i kakao. Wydawało się, że Staś jest naprawdę dzielny smakoszem.

Mieszkał razem z mamą, tatą i starym dziadkiem Frankiem, który miał swoje gospodarstwo, krowy na łące i kury, co gdacząc, biegały po podwórku.

- Staśku – mawiał dziadek, głaszcząc brodę – żeby mieć siłę biegać jak wiatr, trzeba dobrze karmić swoje mięśnie. To jak z moim traktorem – jak nie dostanie paliwa, to nie pojedzie.

Staś kiwać głową rozumiejąco, ale tak naprawdę wołał biegać, niż rozmyślać o tym, co dokładnie je.

Wszystko było całkiem wygodne i zwyczajne. Staś chodził do przedszkola w wiosce, bawił się z kolegami, jadł to, co mu smakowało, a jak czegoś nie lubił, to tylko delikatnie odsuwał talerz.

Ale w środku Stasia coś jeszcze spało – coś, co dopiero miało się obudzić: bardzo ważne pytania o jedzenie, o zapachy i o to, co tak naprawdę daje siłę.

Pewnego dnia, kiedy jesień pukała już do okien chłodnym wiatrem, mama postawiła na stole obiad: ziemniaczki, surówka z marchewki i kotlet. Mięsny, chrupiący, jak zwykle.

- Stasiu, obiad! – zawołała.

Chłopiec przybiegł z podwórka, umył ręce i usiadł. Wziął widelec, nachylił się nad talerzem... i nagle zmarszczył nos.

- Faj... – powiedział cicho.

– Co jest? – zapytała mama, zdziwiona.

Staś powąchał kotleta jeszcze raz. **Tym razem zapach wydał mu się zupełnie inny niż kiedyś. Jakby... jakby ktoś wrzucił go do brudnej, błotnistej kałuży, w której kąpały się gumowce.**

– Pachnie jak błoto... – skrzywił się Staś. – Jak taka śmierdząca kałuża, mamó.

– Przestań, Staś – roześmiał się tata. – To normalny kotlet. Zobacz, my jemy.

Mama ugryzła kawałek, tata też. Pachniało im zwyczajnie. Ale dla Stasia było inaczej. Im dłużej wąchał mięso, tym bardziej wydawało mu się nie do zniesienia.

– Nie chcę – powiedział cicho. – Zjem ziemniaki i surówkę.

– Najpierw trochę mięsa – odpowiedziała spokojnie mama. – Chociaż kilka kęsów, dobrze?

Staś spróbował odrobinę, ale w ustach było mu jakoś... dziwnie. Jakby mięso nie pasowało już do niego.

Od tego dnia coś się zmieniło. Za każdym razem, kiedy na talerzu pojawiał się mięso – kotlet, klopsik, kawałek pieczeni – Staś marszczył nos.

– Pachnie jak błotko... albo jak stary but – mruczał. – Nie chcę.

W przedszkolu było podobnie. Pani w kuchni kładła mu na talerz pulpety, a Staś przesuwał je na bok widelcem.

– Stasiu, zjedz mięsko – prosiła pani. – Będziesz silny jak dąb.

– Nie mogę – odpowiadał. – Źle pachnie.

Inne dzieci patrzyły na niego ciekawie. Jeden kolega szepnął:

– Ja też nie lubię mięsa, jem tylko makaron.

Ktoś inny dodał:

– Mięso jest z biednych zwierzątek... ja nie chcę.

Słowa kolegów zaczęły wirować Stasiowi w głowie. Pachniało źle, dzieci mówiły różne rzeczy, a mięso nagle stało się jakieś... straszne?

W domu rodzice zaczęli się martwić.

– On je spaghetti z mięskiem i pizzę z salami – zastanawiała się mama. – Ale kotletów i innych rzeczy nie tknie.

– Może mu przejdzie – machnął ręką tata, ale w oczach też miał niepokój.

Mijały tygodnie. Staś jadł dużo innych rzeczy: ziemniaki, kaszę, marchewkę, jabłka, rybę w chrupiącej panierce (którą kiedyś też wąchał podejrzliwie, ale potem uznał, że jest smaczna), naleśniki, jogurty, ser. Lubił też spaghetti z mięskiem, bo tam zapachu mięsa prawie nie czuł – sos pachniał bardziej pomidorem i ziołami.

– Mięso w sosie jest inne – tłumaczył mamie. – Tam nie pachnie błotem.

Mimo to, zwykle mięso na talerzu – nie. Zdecydowanie nie.

Pewnego razu Staś zaczął częściej kaszleć. Najpierw trochę, potem mocniej. Złapał go katar, potem gorączka. Leżał w łóżku, przykryty kołdrą aż po nos.

– Oj, mój mały – westchnęła mama, kładąc mu chłodną dłoń na czole. – Znów się rozłożyłeś.

– Eee... – wymamrotał Staś. – Boli mnie gardło.

Pani doktor w przychodni spojrzała w gardło, posłuchała osłuchiwcem.

– Kolejna infekcja – powiedziała. – Ale rośnie, rozwija się dobrze. Proszę się nie martwić za bardzo. Syropek, odpoczynek, dużo picia.

Staś leżał w łóżku i patrzył w sufit. **Czuł się słabszy niż zwykle.** Po chorobie, kiedy wrócił na podwórko, zauważył, że szybciej się męczy. Po kilkunastu minutach biegania musiał usiąść na pieńku.

– Co jest, nogi? – mruknął do siebie. – Czemu jesteście takie ciężkie?

Trochę się tym przejął, ale szybko go to zajęło, bo obok przechodziła kura Mela, najbardziej wesoła kura w całej wiosce. Była biała, z kilkoma brązowymi piórkami na skrzydłach i lubiła... rozmawiać ze Stasiem.

No, może nie tak naprawdę rozmawiać, ale Staś bardzo dobrze rozumiał jej „ko, ko, ko”.

Tego dnia Mela popatrzyła na niego skośnie i zagadkała:

– Ko-ko-ko? (Czy wszystko w porządku?)

– Taki jakiś słaby jestem – westchnął Staś. – I wszyscy mi mówią: „Zjedz mięso, zjedz mięso”. A ja nie chcę, bo pachnie jak błotnista kałuża. Fúj.

Mela przekrzywiła głowę.

– Ko, ko-ko-ko! (Z błotnej kałuży to ja sama bym nie jadła!)

Staś parsknął śmiechem. Chociaż było mu trochę smutno.

Kiedy znów trochę wyzdrowiał i wrócił do przedszkola, po kilku tygodniach złapał kolejną infekcję. Znowu syropki, znowu leżenie. Raz nawet musiał brać antybiotyki i mama była już naprawdę zmartwiona.

– Może on za mało je... czegoś – mruczała, robiąc mu rosół. – Ale przecież je ryby. I sery. I dużo innych rzeczy.

Dziadek Franek patrzył na Stasia uważnie. Widząc jego bladą twarzyczkę, marszczył swoje krzaczaste brwi.

– Coś tu trzeba wymyślić – powiedział któregoś wieczoru, gdy siedzieli z babcią przy stole. – Ale bez straszenia i bez wciskania mu na siłę.

Bo czasem rodzicom zdarzało się lekko naciskać. Kiedyś mama powiedziała:

– Stasiu, jak nie zjesz mięsa, to będziesz słabutki jak nitka. Proszę, jeszcze trzy gryzy.

Innym razem tata spróbował go nakarmić sam:

– Otwórz buzię, samolocik leci!

Staś nie lubił tego bardzo. Czuł wtedy, jakby ktoś nie słuchał, co mówi jego nos i brzuch. Jakby nikt nie rozumiał, że to naprawdę dziwnie pachnie.

I tak oto Staś wpadł w swoją „dziurę” – w kłopot, którego nikt do końca nie rozumiał: on nie chciał jeść mięsa, rodzice się martwili, on częściej chorował i czuł się momentami słaby.

Pewnego sobotniego poranka dziadek przyszedł do Stasia z propozycją.

– Staśku, pomożesz mi dziś w gospodarstwie? – zapytał. – Krowy już zjadły śniadanie, ale musimy zrobić porządek w stodole. A potem mam dla ciebie niespodziankę.

Słowo „niespodzianka” brzmiało jak dzwoneczek. Staś od razu się ożywił.

– Dobrze! – zawołał.

Zjedli śniadanie. Staś dostał kanapkę z serem i pomidorem, a obok pół jajka na twardo.

– Spróbujesz jajka? – zapytała mama łagodnie.

– Tylko trochę – zgodził się chłopiec. – Jajko ładnie pachnie.

Potem poszedł z dziadkiem do stodoły. **W środku pachniało sianem, ziarnem i odrobinę kurzem. Staś lubił ten zapach. Był ciepły i spokojny, jak stara kołdra u babci.**

Zaczęli układać bele siana, a w tym czasie po klepisku dumnie kroczyła kura Mela, szukając ziarenek.

– Ko, ko, ko! – gdakała.

Dziadek nagle zatrzymał się, oparł na widłach i spojrzał na Stasia poważnie, ale łagodnie.

– Staśku – zaczął – słyszałem, że mięso pachnie dla ciebie jak błoto.

Staś odwrócił wzrok.

– Bo tak jest – powiedział po chwili. – Naprawdę. Jak go wącham, to aż mi się nie chce jeść. Jakby mój nos krzyczał: „Nieee!”.

Dziadek pokiwał głową.

– Wiesz, nosem też trzeba czasem słuchać – odparł. – Nosem, brzuchem, sercem. Ale czasem trzeba się też z nimi trochę dogadać. Żeby nie rządziły za bardzo.

– Jak to dogadać? – zdziwił się Staś.

Dziadek uśmiechnął się tajemniczo.

– Chodź, pokażę ci coś.

Wyszli ze stodoły i dziadek zaprowadził Stasia do starej szopy obok. Otworzył skrzypiące drzwi. W środku stała drewniana ławka, kilka worków z ziarnem i mały stolik. Na stoliku leżał zeszyt, a obok dziwny rysunek: człowiek z wielkim brzuchem, dużym nosem i sercem narysowanym na środku.

– Co to? – zapytał Staś z ciekawością.

– To mój „Atlas Siły” – odparł dziadek z dumą. – Kiedy byłem młody, dużo chorowałem, tak jak ty teraz. I wtedy mój dziadek nauczył mnie, że w ciele są różne pomocniki: mięśnie, kości, krew... I że one wszystkie potrzebują różnych rodzajów „paliwa”.

Staś podszedł bliżej. W zeszycie były obrazki: marchewki jako małe latarki wielkich oczu, mleko jako budowniczy mocnych kości, ryby jako iskierki dla mózgu.

– Zobacz – dziadek wskazał palcem. – Tu są „dary z pola i sadu”: warzywa, owoce, zboża. Tu „dary od zwierząt”: mleko, sery, jajka, czasem mięso. A tu „dary z wody”: ryby.

– A mięso też jest darem? – zapytał niepewnie Staś.

– Dla wielu ludzi tak – przytaknął dziadek. – Daje dużo siły i budulca. Ale wiesz, nie każdy musi jeść go dużo. Można siłę brać także z innych rzeczy. Ważne tylko, żeby tych „darów” było razem wystarczająco, żeby twoje mięśnie, krew i odporność miały co robić.

Staś słuchał uważnie. Nagle nie chodziło tylko o „zjedz, bo tak”, ale o jakieś tajemnicze „paliwo” dla ciała.

– Ale ja... – zaczął. – Jak patrzę na mięso na talerzu, to mi po prostu... źle. W przedszkolu dzieci mówią różne rzeczy. I ten zapach... I jestem wtedy taki zdenerwowany.

Dziadek usiadł na ławce i posadził Stasia obok.

– Wiesz, Stasiu, to normalne, że czasem coś nam przestaje smakować – powiedział cicho. – Czasem po prostu zmienia się nos albo głowa zaczyna się czegoś bać. Ale siłę dla ciała można zbierać na różne sposoby. Może nie musisz teraz jeść dużo mięsa, skoro tak cię odpycha. Może wystarczy, że będziemy razem szukać innych rzeczy, które pomogą ci rosnąć i zdrowieć. I że nie będziemy zmuszać twojego nosa.

– Naprawdę nie muszę? – Staś spojrzał z nadzieją.

– Nie musisz nic na siłę – odparł dziadek. – Ale możesz razem ze mną i Melą zostać „odważnym smakoszem”. To znaczy takim, który uczy się poznawać różne

smaki po swojemu: powoli, po trochu, bez krzyków i bez wciskania.

Kura Mela, jakby na potwierdzenie, podskoczyła i zagdakała:

– Ko-ko-ko! (Jestem za!)

Staś uśmiechnął się po raz pierwszy od dawna, kiedy ktoś mówił o jedzeniu.

– A jak się zostaje takim odważnym smakoszem? – zapytał.

Dziadek klepnął go lekko po ramieniu.

– Zrobimy z tego przygodę. Każdego dnia wybierzemy jakieś „paliwo” dla ciebie i będziemy sprawdzać, jak ci się po nim biega, skacze i choruje mniej. I czasem będziemy się bawić w „wążanie bez jedzenia”. Tylko wążanie. Żeby nos się powoli uczył, że nic mu nie grozi.

Staś poczuł, że w środku jego „dziura”, ten kłopot z mięsem i chorowaniem, robi się jakby trochę jaśniejsza. Może da się coś z tym zrobić inaczej, niż tylko „zjedz to, bo musisz”.

Od następnego dnia zaczęły się ich smaczne eksperymenty.

Rano dziadek przyszedł z notesem.